

GUY DE MAUPASSANT.

OJCIEC SZYMONA.

Wybiła dwunasta. Drzwi szkoły się otworzyły i wybiegli tłumnie chłopcy, ciesząc się i potracając, aby jak najprędzej być na dworze. Zamiast jednak, jak zwykle, szybko podążyć do domu na obiad, stanęli grupami w oddaleniu, szepcząc coś pomiędzy sobą. Tego ranka bowiem przyszedł Szymon, syn Blanchetty, po raz pierwszy do szkoły.

Słyszeli oni wszyscy w domu o Blancheccie, a choć każdy grzecznie spotykał ją na ulicy, matki ich pomiędzy sobą odzywały się o niej z pewnym rodzajem pogardliwego politowania, bezwiednie udzielającego się dzieciom.

Dzieci nie znały Szymona. Nie wychodził on nigdy i nie biegał z nimi po ulicach wioski lub nad brzegiem rzeki. Nie cierpiał go dlatego. Z pewną radością, a zarazem zdziwieniem szepiał jeden drugiemu słowa 14 lub 15-letniego wyrostka, który, jak można było wnosić z przebiegłego wyrazu twarzy, więcej zdawał się wieść od innych.

— Wicie, Szymon niema ojca.

W tejże chwili syn Blanchetty ukazał się na progu drzwi.

Zdawał się mieć 7 lub 8 lat. Był trochę przybladły, bardzo czysto ubrany i wyglądał skromnie, prawie nieśmiało.

Chciał wrócić do matki, lecz koledzy szepcząc wciąż i rzucając nafi okrutne i urągające spojrzenia, jakle miewają dzieci gotujące się do złego czynu, zbliżali się coraz więcej, aż go otoczyli kolem.

Ujrzał się w środku zdziwiony, zakłopotany, nie rozumiejąc, czego od niego żądają, gdy wyrostek dumny tylko co odniesionem zwycięstwem, zapytał go:

— Jak się nazywasz? Ty?

— Szymon — odpowiedział.

— Szymon — jaki?

Zmieszane dziecko powtórzyło: „Szymon!” — Każdy się nazywa Szymon, taki lub taki — wykrzyknął wyrostek — to wcale nie nazwisko: Szymon!

Chłopczyna, bliski płaczu po raz trzeci powtórzył: Nazywam się Szymon.

Wszyscy się roześmiali: wyrostek tryumfując zawołał podniesionym głosem:

— Widzicie, że on niema ojca!

Zapanowała cisza. Dzieci oszołomione były tym nadzwyczajnym, niebywałym, okropnym faktem: chłopiec niemający ojca. Przyglądały się temu zjawisku, tej nadnaturalnej istocie i czuły, jak pogarda dla Blanchetty, nieświadomie przyjęta od matek, powoli w nich wzrastała.

Szymon oparł się o drzewo, by nie upadł; był przybity nieszczęściem, niedającym się odwrócić. Chciał coś odpowiedzieć, nie znalazł jednak nic, czemby mógł odeprzeć straszne twierdzenie, że niema ojca.

W kofcu trupio bład machinalnie zawołał:

— A jednak mam ojca!

— Gdzież on jest? — spytał wyrostek.

Szymon zamilkł. Nie wiedział.

Rozweseleni, śmiali się chłopcy. Synowie pół, mało co umysłowo wyżej stojąc od zwierząt, uczuwaliby taką samą chęć okrucieństwa, jaka pobudza kury na dziedzińcu dobić swą zranioną towarzyszkę. Nagle spostrzegł Szymon małego sąsiada, syna wdowy, żyjącego również jak on, samotnie z matką.

— I ty także — rzekł do niego — ty też nie masz ojca.

— A mam.

— Gdzie jest? spytał szybko Szymon.

— Umarł — odrzekło dziecko dumnie — mój ojciec jest na cmentarzu.

Szmer zadowolenia dał się słyszeć pomiędzy chłopcami, jakby kolega, mający ojca na cmentarzu, urosł w ich oczach, by tem więcej przynębić tego, który go nie miał wcale.

I ci nicponie, których ojcowie po większej części byli niegodziwcami, pijakami, złodziejami i bili swe żony, tłoczyli się coraz więcej, jakby chcąc zgnieść swym ciężarem tego, co nieprawie urodzony, stanowiąc wyjątek i nie używał równych z nimi praw.

Nagle, najbliżej stojący Szymona z chytrym uśmiechem pokazał mu język i zawołał:

— Niema ojca! niema ojca!

Szymon za włosy go chwycił obiema rękami, nogami kopiąc nielitościwie, a w kofcu w twarz ukąsił.

Zaczęła się bijatyka; dwaj walczący zostali rozdzieleni a Szymon zbity, z sińcami, z rozerwaną odzieżą, leżał na ziemi w kole zwycięzko wykrzykujących chłopców.

Gdy wstał, machinalnie kurz ręką ze zbrukannej bluzy otrzepując, jeden z chłopców dorzucił:

— Idź, powiedz swemu ojcu.

Serce mu pękało. Oni byli silniejsi, zbili go, a nie mógł im nic odpowiedzieć; czuł bowiem, że to prawda, że on niema ojca. Opierał się dumnie kilka sekund łzom, zaciskającym mu gardło. Zdawało mu się, że się dławi; potem wybuchł cichym płaczem i łkaniem, wsłyszającym całą jego istotę.

Dzika radość opanowała jego nieprzyjaciół. Idąc za popędem natury, jak to robią dzicy, upojeni okropną wesołością schwycili się za ręce, tańcząc w okolo niego i powtarzając zwrótkę: „niema ojca, niema ojca!”

Lecz Szymon nagle łkać przestał. Wściekły z gniewu, podniósł u nóg leżące kamienie i zaczął rzucać na ciemiączków. Trafił dwóch, czy trzech, którzy uciekli a wyglądał tak okropnie, że innych ogarnął strach paniczny. Jak zwykle tłum wobec jednego rozpaczliwego człowieka, ichorliwie się rozprzeczli i pouciekali.

Pozostawszy sam, biedny chłopczyna bez ojca, pobiegł w pole. Jakies wspomnienie ożyło w nim: postanowił utopić się w rzece. Przypominał sobie w istocie, że ubogi jakiś człowiek, żyjący z żebractwa, rzucił się w wodę tydzień temu, dlatego, że nie miał pieniędzy na życie. Szymon widział, jak go wyciągnęli z wody, a smutny chłopak, którego spotykał zawsze niemiłosiernie brudnym i brzydkim, widział go teraz z spokojnem, cichem obliczem, bladymi policzkami, mokrą brodą i szeroko rozwarłymi spokojnymi oczyma. Ktoś z otoczenia szepnął: „umarł” — „teraz jest szczęśliwym” — dodał inny. I Szymon chciał się utopić, bo nie miał ojca, tak jak ten nędzarz, który nie miał pieniędzy.

Pobiegł blisko wody i spojrzał w jej nurty. Kilka rybek płynęło na powierzchni w różne strony i wyskakiwało czasami, by schwycić muchy, latające w powietrzu. Przestał płakać i przyglądał się. Zabawa ich zajmowała go bardzo. Od czasu do czasu jednak, jak podmuchy wiatru po spokojnej burzy, poruszające drzewami i rozpraszające się na horyzoncie — wracała myśl dawna ze zdwojoną boleścią: „Utopię się, bo nie mam ojca”.

Powietrze było ciepłe, śliczne. Słońce ogrzewało murawę. Woda szklila się jak zwierciadło. Szymon czuł przez pewien czas zmęczenie i bezsilność, które są następstwem płaczu; miała wielką chęć położyć się i usnąć na murawie.

Mała zielona żabka prześliznęła się koło jego nog.

Chciał ją schwycić. Uciekła. Pogonił za nią i trzy razy daremnie ją schwytał. Nakoniec złapał za nóżki tylne i roześmiał się, widząc usiłowanie zwierzątka, chcącego się uwolnić. Oparł się na długich tylnych nogach: potem wyciągnęło je nagłym rzutem sztywnie jak paleczki; poruszając przytem dużemi, żółto ołoczonemi oczyma i machając przedniemi łapkami, niby „łkami w powietrzu. Przypomniało mu to zabawkę z wążkiem w zygak deseczek. wysuwających się takimże ruchem i przytwardzonych do niej żołnierzy na musztrę. Potem rozmyślał o domu, o matce, i smutkiem głębokim przejęty, zaczął znów płakać. Dreszcz go przejął; ukląkł i modlił się, jak przed pójściem na spoczynek, ale nie mógł skończyć, bo zaczął łkać tak gwałtownie, że stracił przytomność.

Przestał myśleć; nie wiedział nic, co się w okolo niego działo; płakał tylko.

Nagle ciężka ręka upadła mu na ramię i gruby głos zapytał:

— Cóż cię tak bardzo smuci, chłopcze?

Szymon się obejrzał. Wiejski robotnik o czarnej brzoźnie i czarnych kędzierzawych włosach patrzył na niego z dobrodusznym wyrazem.

Odpowiedział mu z oczyma pełnemi łez:

— Bili mnie... bo ja... nie mam... nie mam... nie mam... ojca!

— Tak — odrzekł uśmiechając się — przecież każdy człowiek ma ojca.

Dziecie konwulsyjnie łkając, zaledwie zdołało odpowiedzieć: ja... ja... nie mam go.

Robotnik spoważniał. Poznał syna Blanchetty, a choć był obcym we wsi, znał jednak potrosze jej historię.

— No, pociesz się chłopcze — rzekł — i chodź ze mną do twojej matki, znajdę ci ojca.

Poszli. Robotnik uchwycił małego za rękę i uśmiechał się.

Był kontent, że zobaczy Blanchettę, o której mówili, że była najpiękniejszą dziewczyną w okolicy.

Przyszli do białego schludnego domku.

— To tutaj — rzekło dziecko i zawołało: „Mamo”.

Ukazała się kobieta, a robotnik uśmiechać się przestał. Poznał od razu, że z tą wysoką, bladą dziewczyną żartować nie można. Stała poważnie we drzwiach, jakby broniąc przestąpienia progu mężczyźnie dlatego, że została przez innego zdradzoną. Nieśmiało z czapką w ręku wyjął:

— Przyprowadzam pani synka, zabłąkał się niedaleko.

Szymon rzucił się matce na szyję i znowu płacząc, rzekł:

— Nie mamo, chciałem się utopić, bo mnie wybili za to, że nie mam ojca.

Ciemny rumieniec okrył lica młodej kobiety; jakby uderzona gromem, namiętnie zaczęła całować dziecko, a lzy strumieniem toczyły się po jej twarzy. Wzruszony do głębi mężczyzna, nie wiedział jak odejść, gdy nagle podbiegł do niego Szymon i zawołał:

— Chcesz być moim ojcem?

Cisza zapanowała, milcząc, z rękami na pierśsiach, zawstydzona Blanchetta oparła się o mur, a dziecko widząc, że nikt nie odpowiada, mło wilo dalej:

— Jeżeli nie chcesz, wrócę i utopię się.

Robotnik wziął to za żart, i śmiejąc się, odrzekł:

— Ależ dobrze, przystaje chętnie.

— Jak się zowiesz — spytało dziecko — abym mógł im powiedzieć, gdy mnie o to zapytają?

— Filip, odpowiedział mężczyzna.

Szymon milczał chwilę, jakby chciał zapamiętać imię, potem rozpostarł ramiona i wesoło dodał:

— A więc Filipie, jesteś moim ojcem.

Robotnik podniósł go z ziemi, pocałował gorąco w oba policzki i szybkim oddalił się krokiem.

Drugiego dnia, gdy Szymon poszedł do szkoły, koledzy powitali go złośliwym uśmiechem. Przy wyjściu, gdy wyrostek znów go chciał ośmieszyć, rzucił mu w twarz, jak kamieniem, słowa:

— Mój ojciec, nazywa się Filip.

Okrzyk radości rozległ się ze wszech stron.

— Filip, kto? Filip, jaki? Co to jest Filip? Skąd wzięłeś twego Filipa?

Szymon milczał; niewzruszony w wierze, pogardliwie na nich spoglądał, gotów zniesić męczarnie i nie uciec przed nimi. Po lekcjach wrócił do matki.

Przez trzy miesiące przechodził często robotnik koło okien Blanchetty, czasami odważył się przemówić, gdy siedziała, szyjąc przy oknie.

Odpowiadała grzecznie, zawsze poważna, bez uśmiechu, nie zapraszając go do wejścia. Jak wszyscy mężczyźni, próżny wmawiał w siebie, że czasami, gdy z nim mówiła, rumieniec oblewał jej twarz. — Jednak raz popsuta opinię trudno naprawić, a i wtedy jest tak wlotka, że o Blancheccie, pomimo jej skromnej powściągliwości, mówić zaczęło. Szymon kochał jednak swego nowego ojca i chodził z nim prawie co wieczór po skończonej robocie na spacer. Uczęszczał pilnie do szkoły i z godnością przechodził koło kolegów, nie odzywając się do nich.

Dnia jednego wyrostek ten, który najpierwszy napadał na niego, rzekł:

— Skłamałeś, nie masz ojca Filipa!

— Dlaczego? — odparł wzruszony Szymon.

Wyrostek ręce zatarł i odpowiedział:

— Gdybyś miał ojca, byłby on mężem twojej matki.

Prawda słów ostatnich zmieszala Szymona, pomimo to odrzekł:

— A jednak jest on mym ojcem!

— Być może — rzekł wyrostek, śmiejąc się — lecz nie jest zupełnie twym ojcem!

Synek Blanchetty spuścił głowę i zamyślony poszedł do kuźni ojca Boisson, gdzie pracował Filip.

Kuźnia jakby się skryła pomiędzy drzewami, wewnątrz czerwony blask wielkiego ognia na kominie oświecał kilku czeladników kowalskich,